

Stang wróci do willi Crawford. Niczego się nie domyśla... Dlaczegooby miał uciekać?... Uciekając, przyznawałby się do winy... I zacząłem wmawiać w siebie, że zastanę go wieczorem w małym pawilonie, gdzie świadczył mi gościnność z tak wzruszającą serdecznością. Ostatecznie, skoro mi umknął, musiałem i tak prowadzić dalej moje śledztwo, musiałem widzieć się z panem Withworth i z nadinspektorem policyi. A zresztą kto wie, może i tego bandytę Stanga spotkam gdzie w mieście? To nałogowy pijak, z pewnością do różnych „barów“ wstępować będzie...

— Jak daleko stąd do Melbourne? — zapytałem Bloschama, który wciąż jeszcze desperował na środku drogi.

— Będzie z milą, panie Dickson — wyjąkał biedak, machając rękoma rozpaczliwie, jak wiatrak.

— Dobrze, pójdę piechotą... Przepraszam pana, panie Bloscham, że pana trochę skrzyżczałem, ale już nie mam żalu do pana... Ileż panu jestem winien?

— Żartuje pan, panie Dickson... zresztą i tak od pana nie przyjąłbym ani grosza... za wiele panu zawdzięczam... Ach, cóż za fatalność! Właśnie kiedy chciałem przysłużyć się panu...

— Jeszcze się znajdzie inna sposobność, mój panie Bloscham... A oto, skoro chce mi się pan przysłużyć, jest na to sposób...

— O, niech pan powie jaki?

— Niech pan zawsze w garażu swoim trzyma maszynę, gotową do drogi... maszynę, w której nie zabraknie benzyny...

— Proszę na mnie liczyć, panie Dickson i jeszcze raz proszę, niech mi pan wybaczy!

— Już to panu mówiłem, że się nie gniewam! A teraz, do widzenia! Prawdopodobnie dziś wieczór odwiedzę pana!

I otrzepawszy z siebie chustką pył, o ile się tylko dało, wyruszyłem pieszo ku Melbourne.

## Rozdział VI.

Nie jest to żadną rozkoszą, wysiadłszy z wygodnego automobilu, wędrować pieszo dobrą milę w piekącym słońcu i w pyle. Zwłaszcza też dla detyktywa, który już sądził, że przyłapał zbrodniarza, a tymczasem widzi nagle, że ten zbrodniarz zdystansował go tak znacznie. Na szczęście jednak jestem potrosze filozofem, przeszkodą zaś niełatwo się zrażam. To też z paltotem pod pachą przebyłem tę milę w godzinę i dwieście minut, a gdy wchodziłem na przedmieście Melbourne, biło właśnie wpół do drugiej. Skinąwszy na przejeżdżającą dorożkę, kazałem się najpierw zawieźć do hotelu i tam też przede wszystkim oczyściłem się, umyłem i ogoliłem. Następnie kazałem się zawieźć na ulicę Fitzroy Street 18.

W bramie domu znalazłem tabliczkę: C. A. Withworth, Agent. III piętro. Wbiegłem na trzecie piętro i zadzwoniwszy, oddałem bilet służącej. W chwilę potem dziewczyna wprowadziła mnie do gabinetu, pełnego sprzętów i różnych przedmiotów. W pośrodku stał drobny starzec, przed starym, dębowym stołem; bujną miał czuprynę i długą siwą brodę.

— Czy mam przyjemność mówić z panem Withworth?

— To ja — odpowiedział starzec, wskazując mi ręką krzesło.

Siadłem. Pan domu wydał mi się raczej zbieraczem, niż człowiekiem do interesów, gdyż oprócz różnych starych rzeźbionych mebli w pokoju, zauważyłem, że na ścianach wiszą liczne obrazy i stara broń. Pan Withworth patrzył na mnie pytająco, poprawiając fałdy szlafroka i czekał, co ja mu powiem.

— Panu wiadomo, kim jestem? — zacząłem. Skinął głową.

— I to również panu wiadomo, że pan Hugon Chancer z Green-Parku nie żyje?

— Obłożyłem zastrzeżeniem wszystkie papiery, które nieboszczyk posiadał.

— Uprzedza pan moje pytanie, łaskawy panie;

a więc pan był zastępcą prawnym tego biednego pana Chancera?

— Byłem jego mężem zaufania, tak... zajmowałem się lokacją jego kapitałów. Pan Hugo Chancer był moim najlepszym przyjacielem.

— A więc wszystko dobrze i ja rad jestem, że trafił mi się pański adres. Często pan widywał pana Chancera?

— Nie widziałem go od dwudziestu pięciu lat; ale powtarzam to panu, był to mój najlepszy przyjaciel... Stosunki podtrzymywaliśmy listownie...

— Zna pan zatem doskonale majątkowe położenie pana Chancera?

— Tak jest... działałem w jego imieniu przy każdym kupnie i każdej sprzedaży walorów.

— A więc pan posiada numery jego papierów?

— Mam spis dokładny, proszę pana.

— Ale nie same papiery?

— Nie... pan Chancer trzymał je u siebie.

— A zatem zostały skradzione?

— Tak przypuszczałem... i dlatego zrobiłem co do nich urzędowe zastrzeżenie.



Następnie wziął lupę ze stołu i dokładnie badał każdą sztukę.

— To bardzo przezorny krok, który się w dalszym biegu sprawy przydać może. Niech mi pan wybaczy, ale czy pan nie sądzi, że pan Hugon Chancer został zamordowany?

— Ja co do tego nie mam sądu... to należy do policyi. Postąpiłem tak, jak sądziłem, że mi postąpić należy... tyle tylko.

— I bardzo szczęśliwą miał pan myśl, proszę pana... Mojem zdaniem pan Chancer padł ofiarą morderstwa rabunkowego... i jestem w tej chwili na tropie...

— Sądzi pan, że na dobrym?

— Tak jest...

— No to dobrze!

— Muszę panu przedewszystkiem powiedzieć, że robiłem poszukiwania w domu nieboszczyka i nie znalazłem żadnych innych walorów, oprócz stu ośmdziesięciu i trzech funtów w złocie.

— Pan Chancer, powtarzam to panu, chował u siebie wszystkie dowody swoich akcyi i obli-gacyi... Mój zacny przyjaciel był bardzo nieostrożny... on nawet szafy żelaznej nie miał. Wiem, że papiery swoje zamykał w gabinecie swoim w mebelku bardzo ładnym i cennym, który ja mu sam niegdyś sprzedałem.

— W sekretarzyku z różanego drzewa?

— Tak jest... widział go pan naturalnie? To starożytny i pamiątkowy mebelek...

— Ja właśnie w jednej z szufladek tego sekretarzyka znalazłem to złoto, o którym panu mówiłem.

— Powinny były być tam i papiery... Jesteś pan detektywem... niech pan wyciąga wnioski...

— Ja zaraz myślałem, że tam popełniono kradzież...

— Tak, tę gotówkę, którą pan znalazł, zostawiono tam umyślnie dla niepoznaki.

— I ja tak sądzę, proszę pana.

Staruszek namyślał się chwilę i ciągnął dalej:

— Jedno mnie jeszcze uderza, oprócz tego, co mi pan powiedział... a to, że tak małą sumkę w gotówce znaleziono w sekretarzyku.

— Sto ośmdziesiąt trzy funtów.

— Wiem... Pan Chancer, który był dziwakiem, chował zawsze u siebie po dziesięć do piętnastu tysięcy franków w złocie... i co dziwniejsza, znał wszystkie złote monety... to była jego mania... Ach! to taki był dziwak, ten biedny Hugon!

Podając panu Withworth cztery suwereny, które dnia poprzedniego wsunąłem do kieszeni. Starzec zbliżył się do okna i dobrze je przy świetle obejrzał. Następnie wziął lupę ze stołu i dokładnie badał każdą sztukę.

— Te suwereny nigdy nie były własnością pana Chancera — oświadczył.

— Jakto?

— To prawda... Mówiłem panu, mój szanowny przyjaciel miał taką manię: znał wszystkie swoje złote monety swoim szczególnym znakiem.

Pan Withworth zawezwał mnie do okna, a dając mi w rękę lupę i jedną ze złotych monet, rzekł:

— Niech się pan przekona, że niema niczego na szyi królowej...

— Nie rozumiem! — zdziwiłem się.

— No tak... Pan Chancer miał pieczętkę bardzo subtelną i ostrą, ledwo dostrzegalną gwiazdkę sześcioramienną, którą wyciskał na wszystkich monetach, w okolicy szyi i twarzy.

Podziwiałem ten pomysł nieboszczyka, który mi tak doskonałą broń dawał do ręki. Pan Witworth silnie po kolei rzucił wszystkie cztery monety o płytę hebanowego stolika i rzekł:

— A zresztą te monety są fałszywe!

I naciął brzeg jednej z nich ostrzem swego szczyraka.

— Są one robione z bezwartościowego aliażu — ciągnął dalej — lecz skądinąd dobrze naśladowane. To piękna fałszerska robota.

Gdybym jeszcze nie miał ustalonego zdania, nie mógłbym już teraz wątpić; Stang nie był tej miary, by tak umiejętną kradzież sam jeden obmyśleć. Stang był tylko narzędziem, był wykonawcą szajki zręcznych złoczyńców, którzy na uboczu obmyślali zamachy, z całym zasobem wiedzy i wykształconej wyobraźni. Zapłacił głową za ten zaszczyt... być może... ale to mało. Moja ambicja w tem, by zde-maskować prawdziwie winnych, to jest tych, którzy skorzystali z tak bezprzykładnego zamachu. To też już obmyślałem sposoby.

— Czy pozwoli mi pan — zapytałem — przepisać numery papierów, które były własnością pana Chancera?

Starzec zgodził się jak najchętniej i przedstawił mi całkowity wykaz papierów, akcyi i walorów, będących w posiadaniu pana Chancera; wszystko to przepisałem starannie w moim notatniku. Pisząc, rachowałem równocześnie, bo chciałem wymiarować wartość majątku zmarłego. Wynosił ten majątek do czterechkroć stu tysięcy funtów!

(Ciąg dalszy nastąpi).